

MIECZ JAHOWE



T O M I

Pierwsza krew na pustyni

M A R E K M I G A Ł A

BIBLIJNA FANTASTYKA HEROICZNA

„Nie bójcie się mieszkańców tej ziemi, bo są dla nas jak chleb. Ich ochrona odeszła od nich, a Pan jest z nami. Nie bójcie się ich”.

KSIĘGA LICZB 14:9

PRAWA AUTORSKIE © MAREK MIGAŁA, 2026

PIERWSZE WYDANIE POLSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Oryginalny tytuł: *Miecz Jahwe Tom I: Krew na Piachu*

Projekt okładki: autor

Ilustracje: autor

Redakcja: autor

Dla wszystkich, którzy zadają trudne pytania dotyczące starożytnych tekstów – i nie odwracają wzroku od odpowiedzi.

ISBN 978-83-981520-0-1



MIECZ JAHWE

SERIA

TOM 0

Córka pustyni
w przygotowaniu

TOM I

Pierwsza krew na pustyni
♦ w twoich rękach ♦

TOM II

Trąby Jerycha
w przygotowaniu

TOM III

Fundamenty Silo
w przygotowaniu

TOM IV

Kłty i łuk
w przygotowaniu

Marek Migala · fantasyka heroiczna · Biblia Izraela



SPIS TREŚCI



TOM I · PIERWSZA KREW NA PUSTYNI · SERIA: MIECZ JAHWE · AUTOR: MAREK MIGAŁA

WPROWADZENIE

UWAGA DLA CZYTELNIKA

PRZEDMOWA AUTORA

O SERII · BIBLIA JAKO FUNDAMENT CYWILIZACJI · FANTASTYKA HEROICZNA

POSTACIE

DRAMATIS PERSONAE

POSTACIE Z TOMU PIERWSZEGO

Oddział Śmierci · Starzi · Antagoniści

PROLOG

PROLOG



NARZĘDZIE JAHWE

Dwadzieścia lat wcześniej · Mojżesz i Aszera · Narodziny Baraka · Kłątwa matki

15

CZĘŚĆ PIERWSZA — PUSTYNNIA PARAN

ROZDZIAŁ I



DWA ZWIERZĘTA

Sen Baraka · Polowanie na lwa · Pierwsze spotkanie z Tirzą · Błogosławieństwo Mojżesza

22

RETROSPEKCJA I



KAMIEŃ PĘKA

Barak · Wiek 8-12 lat · Amnon · Ogień w kościołach · Kgleb i starzi

35

ROZDZIAŁ II



PIEŚŃ O MŁOCIE I CIENIU

Goliat przy kowadło · Miriam i wino · Pierwsze przymierze

40



RETROSPEKCJA II

CYSTERNA

Goliat · 7 lat · Harod · Trzy dni ciemności · Ogień jako wyjście

51



ROZDZIAŁ III

CÓRKA PIASKÓW I NOŻY

Sira · Aleja · Dwa noże i jeden martwy bandyta

55



RETROSPEKCJA III

TRZY IMIONA

Sira · Gang Abirama · Ucieczka z dziećmi · Kaleb · Cel

69



ROZDZIAŁ IV

PIEŚŃ O ŁUKU

Eltolad · Strzala rozłupująca strzałę · Barak i jego prawa pięść

74



RETROSPEKCJA IV

ŁUK OJCA

Eltolad · Zasada bandytów · Śmierć ojca · Ręk samotnego treningu

85



ROZDZIAŁ V

CIEŃ PUSTYNI ZIN

Trzy dni i trzy noce · Eltolad utoruje drogę · Narodziny Cienia

90



RETROSPEKCJA V

LINA

Cień · Oczami psa · Betach · Noc ucieczki · Wolność

99

CZĘŚĆ DRUGA — ODDZIAŁ ŚMIERCI



ROZDZIAŁ VI

ODDZIAŁ ŚMIERCI

Selekcja · Trzy dni · Sto siedem czterystu · Kaleb · Synowie Eliuura

104



ROZDZIAŁ VII

WĄWÓZ PONIŻEJ HEBRONU

Pierwsza misja · Zebulun prowadzi do zasadzki · Jered ginie

117



ROZDZIAŁ VIII

WYROK BOŻY I WYGNANIE

Amulet · Położenie strzały · Zimri i Zebulun udają uciek do pustyni

128



RETROSPEKCJA VI

ŚWIĄTYNIA

Eltolad · Kilka tygodni wcześniej · Dziecko · Rana

137

ROZDZIAŁ IX

METAL Z NIEBA

142



Niebieskie żelazo · Kęźnia · Sekret Goliata · Barak w ciemności

ROZDZIAŁ X



NASZYJNIK Z PALCÓW

159

Nalot Abirama · Nocna zasadzka · Dwunastu przeciwko wielu



RETROSPEKCJA VII

PRÓBA KRWI

170

Barak · Trzej zabójcy · Pierwsze zabójstwo · Kaleb · Namiot · Rachab · List Aszery



ROZDZIAŁ XI

NOS I OCZY

179

Szpieg · Namiot · Zaufanie i zdrada



ROZDZIAŁ XII

PURPUROWY NAMIOT

193

Dwór Eliuwa · Spisek · Tęcza

CZĘŚĆ TRZECIA — ZA MURAMI



ROZDZIAŁ XIII

ŚWIATŁO, KTÓRE ZABIJA

206

Arka · Ranna Rachab · Starzec przy studni · Góra Nebo · Jozue · Przekazanie władzy



ROZDZIAŁ XIV

NOC SZAKALI

218

Pustynna droga · Pulałka Eliuwa · Cień



ROZDZIAŁ XV

ZA MUREM

232

Dalia · Świątynia Baala · Rada Królów



ROZDZIAŁ XVI

POPIÓŁ I OSTRZE

243

Po birwie · Cena · To, co pozostało



ROZDZIAŁ XVII

ZABÓJSTWO

259

Plan · Noc · Cena



ROZDZIAŁ XVIII

WIOSKA

271

Rzyny · Shemer · Więźniowie · Żłach · Otoczenie



ROZDZIAŁ XIX

ŚWIT NAD POPIOŁAMI

282

Poranek · Ocaleni · Kolejny krok



RETROSPEKCJA VIII

GŁOS NA PUSTYNI

Kaleb · Mojżesz w Kaderz-Barnea · Wyrok · Czwadzięści lat

299



ROZDZIAŁ XX

◆ MARSZ ◆

Przekroczenie Jordanu · Kanaan przed nami · Miecz Jahwe marszeruje dalej

282

POSTACIE

— POSTACIE Z TOMU PIERWSZEGO —

BARAK

· syn Aszery i Mojżesza · plemię Efraima

Dowódca Oddziału Śmierci · Miecz Jahwe · Narzędzie Boga

Syn Aszery i Mojżesza — prawdę tę poznaje dopiero u bram Kanaanu, z listu pozostawionego przez ojca przed śmiercią na górze Nebo. Wychowany przez mistrzów wojskowych, nosi w sobie ogień Jahwe, który rozpalają się w jego kościach, gdy zajdzie taka potrzeba, i przesuwają granice tego, co ludzkie ciało jest w stanie wytrzymać. Nie zabiegał o rolę dowódcy. Bóg nie pytał go o zgodę.

TIRZA

· córka Jozuego · plemię Efraima

Wojowniczką · Zwiadowczyni · Córka dowódcy

Córka Jozuego, wychowana w cieniu władzy i wojen. Łuk przewieszony przez ramię, włócznia przy siodle, twarz kobiety, która ma coś do powiedzenia i cierpliwie czeka na odpowiedni moment. Nie walczy dla chwały — chwała jest luksusem dla tych, którzy przeżyli wystarczająco długo, by jej zasmakować.

GOLIAT

· syn Mirona · plemię Dana

Kęwał oddziału · Tarcza Izraela

Olbrzym, przy którym obrońcy obozu wydają się mniejsi, niż powinni. Za dnia wykuwa miecze i zbroje z niebieskiego metalu — jedynego stopu twardszego od żelaza kananejskiego. Nocą boi się ciemności bardziej niż śmierci — i z tego powodu walczy z nią z zacięłością, jakiej nikt inny nie posiada.

SIRA

· córka Ammiego · bez plemienia

Kobieta z bliznami, których nie pozostawiła pustynia — te zostały jej zadane przez Abirama i lata służby w gangu, którego nigdy nie wybrała. Mała i cicha w sposób, który jest bronią, a nie słabością. Nosi w sobie trzy imiona niczym cele na mapie: Ojciec. Matka. Dalia. I czwarte — Abiram — nie jako imię kogoś, kogo nienawidzi, ale jako cel, do którego zmierza.

ELTOLAD

· syn Ammi · plemię Dana

Łucznik z oddziału · Oczy i Źródło

Twarz bez wielu blizn, ale stare oczy — przepełnione smutkiem człowieka, który widział zbyt wiele, zanim zdążył zdecydować, czy tego chce. Przez rok trenował samotnie w ciszy przy wschodniej ścianie obozu z łukiem zbyt ciężkim dla ośmiolatka — aż go naciągnął, aż trafił, aż stał się kimś, kogo nikt go nie uczył być. Nosi dwa łuki — swój i Jereda. Nigdy nie chybia.

CIEŃ

· bez pana · bez plemienia

Zwiadowca oddziału · Bez stopnia

Duży — łapy, które same w sobie wyglądają jak broń. Przegryzł linę i uciekł na pustynię, zanim skończył rok. Eltolad znalazł go umierającego w jaskini — trzy dni mięsa i cierpliwości, czwartego dnia dłoń na jego rozpalonej głowie. Chodzi bez smyczy, bo nie ma smyczy. Chodzi, bo chce. Wyczuwa zasadzkę i śmierć szybciej niż rozum.

— ✦ STARSI I DOWÓDCY ✦ —

KALEB

· syn Jephunneh · plemię Judy

Stary dowódca · Twórca oddziału

Ma osiemdziesiąt pięć lat — a może nawet więcej. Stoi prosto jak włócznia, a jego twarz została wyrzeźbiona przez

pustynię w coś, co nie jest już zmarszczkami, ale topografią człowieka, który przeżył zbyt wiele, by dać się zaskoczyć. Gardzi owacjami. Wybrał Baraka, zanim ten dowiedział się, że został wybrany.

JOZUE

· syn Nuna · plemię Efraima

Przywódca Izraela · Następca Mojżesza

Wódz w lekkiej zbroi, zawsze gotowy, nigdy nie drzemący. Twarz człowieka, który przez czterdzieści lat prowadził naród przez pustynię i zna różnicę między tchórzostwem a ostrożnością, między winą a nieszczęściem, między zdradą a błędem. Ojciec Tirzy. Cel spisku Elisura.

MOJŻESZ

· syn Amrama · plemię Lewiego

Prorok · Prawodawca · Ojciec narodu

Rozmawiał z Bogiem jak z przyjacielem, poprowadził swój lud przez morze, wytrzymał czterdzieści dni postu na Świętej Górze. Ojciec Baraka — choć nigdy w całym swoim życiu nie wypowiedział tej prawdy na głos, nosząc ją w sobie jak wyrok. Zmarł na górze Nebo, wpatrując się w Kanaan, do którego nie miał prawa wejść. Zostawił list. To było wszystko, co miał prawo zostawić.

— ✦ ANTAGONIŚCI ✦ —

ELISUR

· syn Shedeura · plemię Rubena

Wódz · Spiskowiec · Człowiek za zasłoną

Zasiada na jedynym prawdziwym krześle w obozie. Mówi spokojnym głosem, nawet gdy skazuje kogoś na śmierć. Nie nienawidzi Baraka — widzi w nim przeszkodę. A przeszkody albo się omija, albo usuwa, w zależności od tego, co jest tańsze. Uciekł na północ z piętnem zdrajcy w Oddziale. To dopiero początek.

ABIRAM

· bez plemienia · człowiek szłaku

Lider gangu · Człowiek bez skrupułów

Ma cierpliwość żmii: potrafi długo czekać, a kiedy uderza – bez ostrzeżenia, bez litości. Pod jego dowództwem znajduje się czterdziestu jeden mężczyzn, z których każdy rozumie, że słabość ma swoją cenę i to Abiram ją ustala. Wychował Sirę jako narzędzie. Nie przewidział, że narzędzia czasami same decydują o swoim kierunku.

— ♦ INNE POSTACIE ♦ —

ASZERA

· bez plemienia · kobieta z obozu

Matka Baraka · Kobieta, która o nic nie prosiła

Matka Baraka i kobieta Mojżesza – obie te prawdy nosiła w milczeniu przez dwadzieścia lat. Kiedy zabrali jej syna – zwróciła złoto. Kiedy Bóg zabrał jej mężczyznę – nie modlitwą, lecz wyrokiem zwróciła się do nieba. Stała przy drodze, gdy Izraelici przekraczali Jordan, i widziała swojego syna idącego na czele. Nie płakała. Już się nauczyła.

MIRIAM

· Siostra Goliata · plemię Dana

Siostra kowala · Kobieta rozdarta między miłością a zdradą

Młoda, chciwa jedwabiu, który Elisur oferuje zbyt łatwo. Kocha swojego brata prawdziwą miłością, która właśnie przez swoją prawdziwość niszczy – kradnie groty strzał z jego kuźni, aby Oddział nie mógł maszerować, aby Goliat przeżył. Nie rozumie, że miłość, która więzi – nie jest miłością.

— ♦ MISTRZOWIE I NAUCZYCIELE ♦ —

AMNON

· mistrz miecza · plemię Efraima

Pierwszy nauczyciel Baraka

Stary i surowy, uczył chłopców walki odkąd sięga pamięcią. Przez te wszystkie lata widział może cztery osoby z prawdziwym ogniem w sercu – Barak był piątym. Wysłał go do sześciu innych mistrzów. Każdy z nich go odesłał. Amnon nauczył Baraka mądrości – takiej, którą można przekazać dalej. Reszta pochodziła od Boga.

UWAGA DLA CZYTELNIKA

Biblia nie jest bajką.

Jest zapisem historii narodu, który przez czterdzieści lat wędrował przez pustynię i po drugiej jej stronie nie znalazł raju, lecz wojnę. Wojnę o każdy skrawek ziemi, o każdą dolinę, o każde miasto za murami. Wojnę, którą wygrał - nie dlatego, że Bóg wygrał ją za nich, ale dlatego, że ludzie, którym Bóg dał siłę, wiedzieli, co z nią zrobić.

Sword of Yahweh to seria osadzona właśnie w tej historii.

Nie w legendach – w jego kościach. W piasku pustyni Paran, w murach Jerycha, w kanionach Kanaanu, gdzie naprawdę płynęła krew i gdzie prawdziwi ludzie o prawdziwych imionach podejmowali decyzje, których konsekwencje odczuwamy do dziś – ponieważ historia Izraela jest fundamentem cywilizacji zachodniej, cywilizacji arabskiej, cywilizacji etiopskiej i dziesiątek innych. Jest w kodeksach prawnych, w muzyce, w architekturze, w języku, którego używamy, gdy myślimy o sprawiedliwości, obietnicy lub grzechu.

„*Miecz Jahwe*” to moja próba opowiedzenia tej historii na nowo. Nie zamiast Biblii - obok niej. Jako heroiczna fantazja zakorzeniona w realiach epoki brązu, z postaciami, które mają własne głosy, własne lęki i własne powody, by przekroczyć Jordan, nawet gdy Jordan nie chce się rozstąpić.

Tom I - „*Pierwszą krew na pustyni*” - to początek.

Poznacie Baraka - syna Mojżesza i kobiety, którą Bóg mu odebrał - który nie wie, kim jest, ale w kościach nosi ogień, którego nie da się wyjaśnić samą ludzką krwią. Poznacie tych, którzy będą z nim kroczyć: kowala bojącego się ciemności, kobietę z wyrokiem w kieszeni, łucznika strzelającego z łuku ojca oraz psa, który nigdy nie myli się co do ludzi.

Seria będzie miała tyle tomów, ile potrzeba, by opowiedzieć to wszystko do końca.

Ten jest pierwszym.

Marek Migala





PROLOG

NARZĘDZIE JAHWE



Tej nocy Mojżesz płakał.

Nie tak, jak płacze prorok – z twarzą zwróconą ku niebu, ze słowami na ustach. Płakał tak, jak płacze człowiek, cicho, z głową opartą na dłoniach, przy gasnącym ogniu, kiedy wszyscy spali i nikt nie mógł tego zobaczyć. Bo prorok nie może płakać publicznie. Bo przywódca, który płacze, wręcza swoim wrogom broń, której żadna stal nie zastąpi.

Od ostatniego cudu minęło trzysta siedemnaście dni. Trzysta siedemnaście dni krwawych pułapek, buntu, bluźnierstwa i zwątpienia - oraz ciszy niebios, które nie dawały odpowiedzi. Lud szemrał.

Gdzie jest twój Bóg, Mojżeszu? Gdzie jest manna, gdy dzieci płaczą z głodu? Gdzie jest obietnica, gdy starsi umierają na piasku?

Mojżesz nie miał odpowiedzi.

Miał tylko wiarę, a tej nocy wiara była jak lina nad przepaścią - trzymała, ale męczyzna dokładnie wiedział, ile jeszcze pozostało splotów.

Wyszedł z namiotu przed świtem i szedł przez obóz wśród śpiących namiotów, nie wiedząc, dokąd iść, bo cel podróży to luksus dla tych, którzy nie dźwigają ciężaru całego narodu. Po prostu szedł, bo siedzenie niszczyło go szybciej niż ruch.

I wtedy ujrzał ogień Aszery.

— A S Z E R A —

W jej namiocie nie było nic, co naruszało prawo Mojżesza - żadnych bożków, żadnych ofiar, żadnych zakazanych rytuałów. Był tylko ogień, który płonął równomiernie i ciepło, oraz kobieta siedząca obok niego z kolanami podciągniętymi pod brodę, wpatrująca się w płomień z wyrazem twarzy kogoś, kto nie śpi, bo nie ma o czym śnić.

Aszera.

Mojżesz znał ją z widzenia - każdy mężczyzna w obozie znał ją z widzenia - taka była jej natura i jej zawód, i nie było w tym ani słowa potępienia, tylko opis. Była piękna w sposób, który nie był ani przypadkowy, ani wrodzony, ale wypracowany przez lata zrozumienia własnej mocy. Miała za sobą kochanków z najwyższych sfer — starszych klanów, dowódców tysięcy, posłańców królów. Nie przyjmowała tych, którzy mieli mniej niż wszystko do zaoferowania.

Podniosła wzrok, gdy usłyszała jego kroki.

Patrzyła na niego przez chwilę bez wyrazu na twarzy — bez zaskoczenia, bez szacunku, bez strachu. Potem lekko się przesunęła, robiąc miejsce przy ognisku.

- Usiądź - powiedziała. - Wyglądasz na człowieka, który potrzebuje usiąść.

Mojżesz usiadł.

Przez długi czas żadne z nich nic nie mówiło. Ogień trząsał. Na zewnątrz śpiewały świerszcze. Gdzieś daleko płakało dziecko, a potem zamilkło.

- Nie musisz się tłumaczyć - powiedziała w końcu Aszera, nie patrząc na niego. - I nie musisz niczego udawać. Mam wolny wieczór.

Mojżesz spojrział na nią.

Był człowiekiem z żelaza - o tym wiedzieli wszyscy, którzy go znali. Człowiekiem, który rozmawiał z Bogiem jak z przyjacielem, który poprowadził swój naród przez morze, który przetrwał czterdzieści dni postu na Świętej Górze bez wody i pożywienia i wrócił z kamieniami w rękach.

Ale tej nocy był tylko starym, zmęczonym mężczyzną, który nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś bez żadnego powodu zrobił mu miejsce przy ognisku.

Został do świtu.

W ciągu kolejnych tygodni sprowadziła go do siebie jeszcze trzy razy.

Za czwartym razem nie przyszedł. Nie dlatego, że nie chciał - ponieważ tej nocy Bóg przemówił do niego we śnie, a głos był tak wyraźny, że obudził się z sercem bijącym jak przed bitwą.

Znaż Prawo, Mojżeszu. Wierz, co piszę o tych, którzy dzielą się sobą z nierządnicą. Wierz również, że jesteś Moim sługą, a Mój sługa nie należy do siebie samego.

Mojżesz wiedział.

Wiedział to, zanim poszedł do niej po raz pierwszy. Wiedział to przez wszystkie noce spędzone tam. Wiedział to teraz, słuchając głosu, który nie pozostawiał miejsca na negocjacje.

Wysłał do niej posłańca z liścikiem i zapasem złota wystarczającym na rok.

Aszera zwróciła złoto.

Zwróciła mu je zawinięte w kawałek swojej szaty, bez słowa wyjaśnienia — ponieważ Aszera umiała milczeć w sposób głośniejszy niż jakikolwiek krzyk.

Mijały miesiące. Mojżesz prowadził naród przez pustynię, rozstrzygał spory, rozmawiał z Bogiem i był wszystkim dla wszystkich, nie wysyłał już posłańców i sam nie udawał się do niej.

I wtedy pojawiła się wizja.

— W I Z J A —

Nadeszła w nocy, w tej godzinie przed świtem, kiedy sen jest najgłębszy i kiedy prorocy widzą to, czego nie mogą zobaczyć za dnia.

Mojżesz stał na wzgórzu i patrzył na ziemię, która jeszcze nie należała do nich — wzgórze Kanaanu, doliny pełne mleka i miodu, miasta z murami sięgającymi nieba. I wiedział, tak jak we śnie wie się rzeczy, których nie można pojąć na jawie, że jego stopa nie dotknie tej ziemi. Że istnieje granica wyznaczona przez Boga i że ta granica przebiega dokładnie tam, gdzie naprawdę zaczyna się ziemia obiecana.

Wtedy ujrzał chłopca.

Stał przed nim — miał może pięć lat, może sześć, z ciemnymi, spokojnymi oczami i twarzą, która miała w sobie coś z twarzy Aszery, coś z jego własnej, a także coś jeszcze, coś trzeciego, coś, czego nie dało mu żadne z rodziców, ponieważ tego się nie daje — otrzymuje się to z góry.

Chłopiec trzymał w rękach miecz. Zbyt duży jak na jego wiek, zbyt ciężki, ale trzymał go pewnie - tak pewnie, jakby urodził się z nim w dłoniach.

Głos dobiegł z chmury nad wzgórzem - ten głos, który Mojżesz znał jak własne imię, który słyszał w krzaku, na górze i w ciszy pustyni.

To jest Mój Miecz, Mojżeszu. Tam, gdzie ty nie wejdziesz - on wejdzie. Tam, gdzie twój lud będzie potrzebował ostrza - jego ramię będzie tym ostrzem. Ukształtujesz go zgodnie z Moją wolą, a nie z twojej miłości. Nie pozwolisz mu poznać ani ojca, ani matki, ponieważ miłość rodzicielska jest ciepłem, które zmiękcza stal. Moje narzędzie musi być twarde.

Mojżesz obudził się ze łzami w oczach.

Siedział długo w ciemności namiotu i słuchał własnego oddechu, nie modląc się, ponieważ nie miał słów, by wyrazić to, o co chciał prosić - a prośenie o zmianę wyroku Boga jest grzechem, o którym wie każdy prorok i który każdy prorok popełnia w swoim sercu przynajmniej raz.

Potem wstał i poszedł do namiotu Aszery.

— OSTATNIA NOC —

Siedziała przy tym samym ognisku. Jakby wiedziała, że przyjdzie. A może po prostu siedziała tak każdej nocy - bo kobieta, która zna życie, wie, że ogień i czujność to niewielka cena za bezpieczeństwo.

Jej brzuch był duży. Do porodu pozostały dwa, może trzy miesiące.

Mojżesz stanął przy wejściu i patrzył na nią, nie wiedząc, jak zacząć, ponieważ wszystkie słowa, jakie miał, były albo zbyt małe, albo zbyt okrutne.

- Wiem - powiedziała Aszera, zanim zdążył otworzyć usta.

- Aszerah...

- Wiem - powtórzyła spokojnie. - Siedziałam tu, myśląc, że nie przyjdiesz. Że wyślesz posłańca. Cieszę się, że przyszedłeś osobiście.

Mojżesz wszedł i usiadł naprzeciwko niej. Między nimi płonął ogień.

- Miałem wizję - powiedział.

- Wiem, że miałeś. - Jej głos był spokojny, ale nie wynikało to z pogody ducha, lecz z podjętej wcześniej i niezmienionej decyzji. - Czego twój Bóg od nas oczekuje?

Mojżesz jej powiedział.

Opowiedział jej wszystko - o chłopcu z mieczem, o granicy, której nie przekroczy, o tym, jak dziecko miało zostać oddane obcym wojownikom i miało stać się twarde, i nigdy nie miało dowiedzieć się, kim byli jego ojciec i matka. Miał być narzędziem, a narzędzia nie mają historii - mają tylko przeznaczenie.

Aszera słuchała bez ruchu, wpatrując się w ogień.

Kiedy skończył, przez długi czas milczała.

- Twój Bóg - powiedziała w końcu, cicho i wyraźnie - ma odwagę pragnąć tak wiele. Od ciebie. Od mnie. Od dziecka, które jeszcze nie oddycha samodzielnie i które już zostało oddane.

Mojżesz nie odpowiedział, ponieważ nie miał odpowiedzi, która by pomogła.

- Czy twój Bóg kiedykolwiek - zapytała Aszera, a jej głos nie drżał, ponieważ gniew u takich kobiet jest zimny, a nie gorący - prosi cię o zgodę? Czy tylko informuje?

- Informuje - przyznał Mojżesz.

„A ty się zgadzasz?”

„Jestem Jego sługą”.

- A ja? - Spojrzała na niego. - Kim ja jestem? Naczyniem, które nosi Go jako wojownika? Uczuciem, którego możesz doświadczyć, a potem zostawić za sobą, bo twój Bóg ma ważniejsze plany?

Mojżesz milczał.

- Odejdź - powiedziała Aszera.

„Aszera...”

„Odejdź” - powtórzyła. „Proszę. Zanim powiem coś, czego żadne z nas nie chce usłyszeć”.

Mojżesz wstał.

Zatrzymał się przy wejściu - plecami do niej, bo nie mógł na nią w tej chwili patrzeć.

- Będzie silny - powiedział. - Twój syn. Silniejszy niż my oboje. Bóg mi to pokazał.

„Mój syn” - powiedziała Aszera za jego plecami, a w jej głosie czuć było cały ciężar tych dwóch słów. „Przez trzy dni był mój. Dziękuję za informację, Mojżeszu”.

Wyszedł w noc i nie zawrócił, i już nigdy nie powrócił.

— K L Ą T W A —

Chłopiec urodził się miesiąc po tej rozmowie. Zdrowy, hałaśliwy, z ciemnymi oczami, które patrzyły na świat z wczesną podejrzliwością — jakby już wiedział, że świat nie da mu niczego za darmo.

Aszera trzymała go przez trzy dni.

Trzy dni - czas trwania snu, chwila przed burzą. Karmiła go, kołysała i mówiła mu rzeczy, których żaden skryba nie zapisał i których nikt inny nie słyszał. Powiedziała mu, jak ma na imię, skąd pochodzi i co Bóg mu odebrał, zanim jeszcze zrozumiał, co to znaczy mieć.

Czwartego dnia przybył posłaniec Mojżesza.

Starszy mężczyzna z plemienia Lewiego, spokojny jak ktoś, kto wykonuje nieprzyjemne zadania na rozkaz wyższej władzy i nauczył się nie zastanawiać zbyt nad tym, co robi. Cekał przy wejściu z wyciągniętymi ramionami.

Aszera wstała. Owinęła chłopca ciasno w lnianą tkaninę. Przez chwilę patrzyła na jego twarz - na te ciemne oczy, na usta matki i czoło ojca, oraz na coś trzeciego, co nie miało nazwy, ale kryło w sobie przyszłość.

Wydawała go.

Bez łez - bo łązyłyby zbyt małą reakcją na to, co czuła - ale z jednym słowem, wypowiedzianym do chłopca, a nie do posłańca, cicho i wyraźnie, jak wyrok:

„Barak” - powiedziała. „Nazywasz się Barak. Pamiętaj o tym, nawet jeśli zapomną ci o tym powiedzieć”.

Posłaniec odszedł z dzieckiem.

Aszera stała przy wejściu do namiotu i patrzyła, aż zniknął wśród rzędów namiotów, aż nie pozostało nic do oglądania - tylko piasek i słońce oraz obóz tętniący życiem, które nie miało z nią nic wspólnego.

Wtedy zwróciła się ku niebu.

Nie modliła się. Nie prosiła. Nie błagała.

Przemówiła - głosem cichym i zimnym jak kamień w cieniu - do Boga, którego nigdy o nic nie prosiła, a który mimo to odebrał jej wszystko.

- Pamiętaj - powiedziała do nieba. - Zabrałeś mi go, zanim się urodził. Zabrałeś jego ojca. Zabrałeś trzy dni, które były wszystkim, co miałam. A teraz mówisz mi, że on będzie Twoim mieczem. Twoim, a nie moim.

Chwila ciszy.

„Dobrze. Niech będzie Twój. Ale niech wie, gdziekolwiek pójdzie i cokolwiek zrobi - że jego siła nie pochodzi z Twojej łaski. Pochodzi z mleka kobiety, którą zostawiłeś z pustymi rękami. Z bólu ojca, który nie miał odwagi zostać. I z woli małego dziecka, które przez trzy dni wiedziało, że jest kochane - i które będzie nosiło tę świadomość w kościach, nawet jeśli nie będzie w stanie powiedzieć, skąd ona pochodzi”.

Weszła do namiotu.

Ogień przy wejściu powoli gasł w porannym słońcu.

Daleko stąd, w ramionach posłańca z plemienia Lewiego, małe ciemne oczy patrzyły w niebo.

— DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ —

Kaleb wiedział.

Wiedział od początku — Mojżesz mu powiedział, że ktoś musi wiedzieć, a tajemnice tej wagi niszczą człowieka od środka, jeśli nie ma nikogo, komu można by je wyjawić. Kaleb był odpowiednią osobą: starym wojownikiem, który umiał milczeć i rozumiał, że pewne prawdy są bronią, a broń nie powinna leżeć na widoku.

Obserwował Baraka od momentu, gdy chłopiec trafił do oddziałów szkoleniowych. Obserwował, jak dorasta - zbyt szybko, zbyt potężnie, z tą spokojną intensywnością, która nie jest cechą wojownika wynikającą z wychowania, ale czymś wrodzonym, czymś, co nie pochodzi ze szkolenia ani dyscypliny, ale z głębszego miejsca, do którego żaden nauczyciel nie ma dostępu.

Obserwował i milczał.

Ponieważ tak nakazał Mojżesz. Ponieważ taka była wola Boga. Ponieważ chłopiec, który nie zna swojej historii, patrzy przed siebie, a nie za siebie - i idzie dalej niż ten, który ją zna.

Czasami jednak, gdy Barak trenował samotnie na wzgórzu przed świtem, a jego sylwetka rysowała się na tle wschodzącego słońca, Kaleb dostrzegał w nim coś, czego nie pamiętał z żadnego pola bitwy ani obozu wojskowego, ale co widział dokładnie raz - na twarzy starego człowieka kłęczącego przed Przybytkiem, z nasączonymi krwią skórą lwów u stóp i z pytaniem w oczach, które nie było pytaniem skierowanym do Boga, ale do samego siebie.

Pytanie brzmiało:

ile to wszystko jest warte?

Kaleb nie znał odpowiedzi.

Wiedział jednak, że pewnego dnia Barak również je zada.

I że w dniu, w którym je zada - wszystko, co nastąpi po tym dniu, będzie zależało od odpowiedzi, jaką otrzyma.





ROZDZIAŁ I

DWIE BESTIE



Sen był ciężki.

Barak stał na wzgórzu i patrzył na obóz Izraelitów. Dwanaście kręgów namiotów, każdy pod własnym sztandarem, każdy z własnymi starszymi i własnymi grzechami. Ze środka, gdzie powiewały proporczyki Rubena, zaczęła pełzać czarna mgła - gęsta, żywa, taka, jakiej nie tworzy zwykły ogień. Pożerała blask gwiazd. Z oparów wyłoniły się kształty, których nie ukształtowała ludzka ręka.

Dwa lwy wyskoczyły z ciemności i rzuciły się na Mojżesza.

Barak patrzył, jak kły rozrywają szaty proroka, patrzył, jak krew plami piasek. Za bestiami płonęły ludzkie oczy - zimne, pełne jadu, zadowolone z siebie.

Wizja przeskoczyła. Mojżesz ukląkł na Świętej Górze i płakał, a skały drżały od jego płaczu. Z chmury dobiegł głos, który rozrywał błony bębenkowe:

Powiedziałem wam, Izraelu: Nie będziecie mieli innych bogów obok Mnie. A wy - co uczyniliście?

Barak obudził się przed świtem.

Pot spływał mu po szyi. Dłonie zacisnęły się na nieistniejącej rękojeści. Nie czekał na pierwsze promienie słońca – chwycił miecz i wyszedł na skaliste wzgórze nad obozem, ponieważ po takim śnie jedyne, co pomaga, to ruch i stal.

– T A N I E C N A S Z C Z Y C I E W Z G Ó R Z A –

Trenował w samotności, bo o tej porze nikt rozsądny jeszcze nie wstał.

W ruchach Baraka nie było nic z ociężałości zwykłego wojownika.

Zaczął od podstaw - nie dlatego, że ich potrzebował, ale dlatego, że ciało, które pomija fundamenty, buduje nawyki na piasku. Każda sesja. Zawsze. Prawa stopa do przodu, kolano lekko ugięte, ciężar ciała równomiernie rozłożony. Miecz na linii środkowej, ostrze na wysokości gardła wyimaginowanego przeciwnika. Pozycja gardy. Punkt zerowy.

Pierwsze cięcie - po przekątnej od prawego ramienia w dół, to, które Reuben nazywał *sekantem*, które wyglądało na proste i wymagało, by nadgarstek nie wyprzedzał łokcia nawet o milimetr. Barak wykonał je dwadzieścia razy w powietrzu. Dwadzieścia razy identycznie. Ponieważ powtarzanie nie jest nudą - powtarzanie to pamięć mięśniowa.

Następnie sekwencja. Wypad z lewej stopy - *prosty wykrok*, ostrze idzie prosto, ciało podąża za nim, nie przed nim - powrót do pozycji wyjściowej, obrót bioder, *wysoka feint*, która udaje atak na głowę, a nim nie jest, oraz poziome cięcie w bok, gdy wyimaginowany wróg otwiera się na coś, co wyglądało na błąd. Reuben nauczył go, że zwód to kłamstwo opowiadane ciałem i że ciało musi wierzyć w to kłamstwo, ponieważ wróg odczytuje ciało, a nie umysł.

Przyspieszył.

Krok w tył – cofnięcie się z jednoczesnym obniżeniem sylwetki, cięcie wroga mija głowę o szerokość dłoni – *kontratak* z dołu, ostrze trafia pod zębra, gdy wróg nie cofnął jeszcze ramienia.

Obrót przez lewe ramię - ćwierćokrąg, ciężar ciała przeniesiony na przednią stopę - i *uderzenie płaską stroną ostrza* w bok głowy, ogluszające, a nie śmiertelne, ponieważ martwy wróg nie powie nic pożytecznego. Krok w bok.

Kryty parowanie – miecz pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ostrze przy ostrzu, siła nie jest tu celem, celem jest zmiana kierunku – i *pchnięcie z obrotem nadgarstka*, dzięki czemu ostrze wkręca się w ranę, co Amnon pokazał mu kiedyś i nakazał nigdy nie używać bez konieczności, bo to nie jest walka, to okrucieństwo.

Zatrzymał się.

Stał nieruchomo z opuszczonym mieczem, a jego oddech wyrównał się szybciej, niż powinien u kogoś po takim wysiłku. To był znak, że jest w formie. Ciało, które działa dobrze, wraca do spokoju, zanim umysł zdąży o tym pomyśleć.

Zaczął od nowa.

Tym razem z wymaginowanym przeciwnikiem po lewej stronie. Inna geometria - wszystko, czego nauczył się dla prawej strony, musi zostać przepisane w lustrzanym odbiciu, ponieważ leworęczny wróg to osobny problem, a Barak miał kilku takich na swojej liście.

Stał zaszeleściła. Poruszał się jak tancerz, który zapomniał, że tańczy - nie myśląc o następnym kroku, ponieważ następny krok był już przygotowany, zanim zakończył się bieżący. Każdy miesiąc pracował osobno i razem. Był całkowicie pochłonięty tym - istniało tylko ostrze i wymaginowany wróg oraz rytm, który był jego własnym i nie miał nazwy.

Nie zauważył Kaleba, dopóki stary dowódca nie odchrząknął.

- Mistrzu - mruknął Barak, nie odwracając głowy. Czubek miecza drżał kilka milimetrów nad ziemią.

- Przewyższyłeś moich nauczycieli - odparł Kaleb, zbliżając się. - Ale twoje serce bije dziś zbyt szybko. Co widziałeś w nocy?

Barak odpowiedział mu sen. Krótko, bez ozdobników - bo Kaleb nie lubił ozdobników.

Stary dowódca długo milczał, gładząc swoją siwą brodę.

- Czuję to samo, synu. Elisur sieje niepokój, podważa autorytet starszyzny, a jego ludzie szepczą w cieniu. Nie mamy dowodów - jest zbyt sprytny, by pozostawić ślady. - Wskazał na horyzont. - Wysłałem najlepszych myśliwych. Nie wrócili ze skórami. W atakach tych bestii jest metoda. Inteligencja, która nie pasuje do dzikiego zwierzęcia.

W tym momencie obaj dostrzegli ruch przy bramie obozu.

Niewielka grupa strażników wracała z pustyni. Nie szli dumnie. Nieśli ciała na marach.

Barak i Kaleb zeszli z wzgórza w milczeniu. Przy bramie zobaczyli to, co pozostało z myśliwych. Nie była to śmierć z rąk drapieżników - ciała ułożono w rytualny symbol, demonstrację mocy, podpis. Ktoś chciał, by obóz wiedział, że to nie był wypadek.

Barak patrzył na to przez chwilę. Potem podniósł wzrok.

- Myśliwi zginęli, bo szukali zwierząt - powiedział. Jego głos był zimny i spokojny, bo te dwie cechy nie wykluczają się wzajemnie. - Nie będę szukał lwów. Będę szukał tego, kto nimi kieruje.

— K R E W L W Ó W —

Eltolad był wysoki i szczupły, na jego twarzy nie było jeszcze wielu blizn, ale miał stare oczy. Pełne smutku człowieka, który widział zbyt wiele i nie miał wyboru, kiedy zacząć to widzieć. Stał przed Barakiem, ściskając swój dębowy łuk.

- Mówią, że potrafisz wysledzić ducha na skale - powiedział Barak.

- Duchy nie pozostawiają zapachu strachu - odparł bezzamiętnie Eltolad. - Te lwy pozostawiają. Ale to nie jest zwykły strach. Pachną jak padlina, która wciąż chodzi.

Wyruszyli o świcie. Barak, Eltolad i ośmiu myśliwych - najlepsi spośród tych, którzy zostali przy bramie, gdy strażnicy przynieśli ciała.

Przed wyruszeniem zebrali się przy wschodniej palisadzie. Ośmiu mężczyzn o twarzach, które zdradzały wszystko - strach, który próbowali ukryć, oraz świadomość tego strachu, co było jeszcze gorsze.

- Oni wiedzą - powiedział jeden z nich. Miał szerokie ramiona i bliznę na lewym policzku - nazywał się Nachor i był myśliwym od piętnastu lat. - Wiedzą, zanim przybędziemy. Zawsze. Jakby czytali w myślach.

- Mój brat wyruszył za nimi w zeszłym tygodniu - powiedział drugi, młodszy, z drżeniem w głosie, które próbował opanować. - Było ich siedmiu. Dobrzy ludzie. Zнали te wzgórza jak własną kieszeń. Wszystkie wyjścia były zamknięte - lwy wiedziały, z której strony nadchodzą, wiedziały, gdzie jest droga ucieczki, wiedziały...

- Przestań - mruknął Nachor.

- To nie są zwierzęta - kontynuował młody. Nie słuchał. - Zwierzę atakuje z głodu. Zwierzę boi się ognia. Te nie boją się niczego. Szesnastego zeszłego miesiąca w oazie - ktoś zapalił pochodnie, krzyczał, hałasował jak na festynie. Nic. Weszli i zrobili to, co zrobili.

„Mówią, że raz się odwróciły i spojrzały” — powiedział trzeci, starszy, z siwizną w brodzie. „Zanim odeszły. Jakby sprawdzały. Jakby liczyły”.

„Bo coś nimi kieruje” - powiedział cicho Nachor. „Nie instynkt. Coś innego. Widziałem lwa na polowaniu - lew to siła i głód, i nic więcej. Te... te myśla”.

Cisza przy palisadzie. Jeden z myśliwych - najmłodszy, może osiemnastolatek, z łukiem zbyt dużym jak na jego ramiona - zaczął modlić się cichym głosem, z zamkniętymi oczami, twarzą zwróconą na wschód. Słowa były stare, pochodziły ze starych psalmów, tych śpiewanych, gdy człowiek nie ma innego wyjścia.

„Jahwe Sabaot, Panie Zastępów, Ty jesteś moją tarczą i moją chwałą. Chronis mnie przed siłami zła, które chodzą w ciemności i zastawiają sidła na moich drogach...”

Dwóch innych dołączyło cicho. Potem trzeci. Nachor stał z otwartymi oczami i patrzył na palisadę, ale jego usta też się poruszały.

Barak słuchał. Czekał, aż skończą.

Kiedy modlitwa ucichła, wystąpił naprzód.

„To, co nas czeka, jest niebezpieczne” - powiedział. Nie głośno - cicho, tym głosem, który zmusza do słuchania bardziej niż krzyk. „Nie twierdzą inaczej. Mówię wam prawdę, ponieważ fałszywa odwaga jest gorsza niż strach. Trzy grupy przed nami nie wróciły. Jesteście dobrymi myśliwymi. Każdy z was zna wąwozy, wiatry i tropienie. I każdy z was ma prawo się bać”. Pauza. „Jeśli ktoś chce zawrócić, niech zawróci teraz. Bez wstydu. Mówię poważnie. Zawróćcie teraz i pilnujcie namiotu, zaopiekujcie się rodziną, zaopiekujcie się czymkolwiek. Ale powiedzcie mi to teraz, a nie wtedy, gdy będziemy w połowie drogi”.

Cisza.

Wtedy odezwał się Nachor - ten, który mówił o demonach, ten z blizną, ten, który modlił się najgłośniej.

„Odhodzę” - powiedział. Jego głos był spokojny i pewny, jakby podjął tę decyzję, zanim Barak skończył mówić. „Nie dlatego, że boję się śmierci. Ponieważ to, co opisałem - ta inteligencja, to planowanie - nie pochodzi z tego świata. Walczyłem z ludźmi i walczyłem ze zwierzętami. Nie walczę z demonami. To nie jest moja walka”.

Nikt nic nie powiedział. Nikt go nie zatrzymał.

Nachor skinął głową - krótko, bez dramatyzmu - odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę obozu. Jego plecy były proste. On nie uciekał. On odchodził.

Barak patrzył na niego przez chwilę. Potem spojrzał na pozostałą siódmkę.

„Ktoś jeszcze?”

Siedem twarzy. Siedem odpowiedzi: cisza i bezruch, co jest staromodną formą *potwierdzenia*.

- Dobrze - powiedział Barak. - Idziemy.

— W DOLINIE —

Wyruszyli, gdy słońce było jeszcze nisko - Barak, Eltolad i siedmiu myśliwych, którzy zostali z powodów znanych tylko im samym i których nikt nie musiał wyjaśniać.

Znaleźli ślady w dolinie, dwie godziny marszu od obozu.

Eltolad przykucnął przy pierwszych śladach i w milczeniu je badał. Dwa zwierzęta - odległość między śladami sugerowała, że nie biegły, tylko szły. Spokojnie. Bez pośpiechu.

„Przeszły tędy zeszłej nocy” - powiedział w końcu. „I wróciły tą samą trasą”. Podniósł wzrok. „To nie jest trop myśliwski. Mieszkają tutaj albo mają tu coś do załatwienia”.

- Ile ich jest? - zapytał Barak.

- Na pewno dwóch. Jeden wyraźnie większy od drugiego.

Jeden z myśliwych - ten z siwą brodą - przykucnął obok Eltolada i dotknął śladu.

- Mój dziadek polował na lwy przez czterdzieści lat - powiedział cicho. - Mówił, że lew nigdy nie wraca dwa razy z rzędu w to samo miejsce. Instynkt. - Podniósł głowę. - Te wróciły.

- Słyszałem cię - odparł Barak. - Idziemy dalej.

Podążali śladami.

Znaleźli ich pół godziny później, w płytkim wąwozie, gdzie skały tworzyły naturalne osłony - tych, którym nie udało się uciec lub nie byli w stanie tego zrobić.

Mężczyzna i chłopiec.

Ojciec i syn - było to jasne, zanim ktokolwiek to powiedział, ponieważ leżeli tak, jak leżą razem ci, którzy nie uciekli w różnych kierunkach. Ojciec był potężnej postury, miał skórę zniszczoną przez lata słońca i ręce pasterza - a te ręce wciąż były wyciągnięte w stronę chłopca, w geście, który jest ostatnim i nie ma nazwy. Chłopiec miał prawdopodobnie osiem lat.

To, co z nich pozostało - nie dało się opisać słowami, które mają inne znaczenia.

Jeden z myśliwych odwrócił się, zrobił trzy kroki w bok i zwymiotował na kamień - bez dramatyzmu, bez wstydu, po prostu dlatego, że ciało miało swoje zdanie i je wyraziło. Nikt na niego nie patrzył. Wszyscy patrzyli gdzie indziej albo nigdzie.

Barak stał nieruchomo. Zaciśnięta pięść na rękojeści miecza – nie z agresji, z czegoś innego, z tej szczególnej reakcji ciała na widok zbyt wielki, by go opisać słowami. Eltolad przykucnął kilka kroków dalej, gdzie ziemia mówiła więcej niż ciała, i czytał piasek z twarzą zamkniętą jak zamknięta skrzynia.

- To nie był wypadek - powiedział w końcu. - Byli tu i odeszli. A potem wrócili. - Palcem wskazał dwa punkty na piasku. - Dwukrotnie.

Przez długi czas nikt nie odezwał się ani słowem.

W końcu odezwał się jeden z myśliwych - ten młody, z łukiem zbyt dużym dla jego ramion. Mówił spokojnie, co było trudniejsze niż krzyczenie.

- Mam żonę. Jest w ósmym miesiącu. - Zatrzymał się. - Nie mogę zostawić jej bez ojca dla dziecka, które jeszcze nie przyszło na świat.

Barak spojrzał na niego.

„Idźcie” - powiedział.

„Moja matka jest chora” - powiedział drugi. Ten z siwą brodą, który opowiadał o swoim dziadku. „Nikt inny się nią nie opiekuje. Jeśli zginę tutaj, umrze samotnie”. Krótka pauza. „Przepraszam”.

- Nie przepraszaj - powiedział Barak. - Idź.

Dwóch odeszło. Nie biegli. Szli spokojnym krokiem - bo to nie była ucieczka, to była decyzja, i obaj o tym wiedzieli, a ci, którzy zostali, też to wiedzieli.

Zostało pięciu. Barak, Eltolad i trzech myśliwych, którzy zostali - każdy z własnych powodów, o których milczeli.

„Pochowamy ich” - powiedział Barak. „A potem ruszymy dalej”.

Pochowali ich razem, ojca i syna, w jednym miejscu - bo po tym, co widzieli, nikt nie mówił o osobnym pochówku.

Ruszyli w górę kanionu.

— Z A K Ł Ę C I E —

Ślady były makabryczne. Rozszarpane gazy, których mięso pozostało nietknięte - lwy zabiły je dla przyjemności niszczenia, a nie z głodu. Obok potężnych odcisków łap Eltolad zauważył coś jeszcze.

- Zatrzymaj się - powiedział cicho, kucając.

Dotknął nasączonego krwią piasku obok śladu. Wąski, niemal ludzki, boso.

- Ktoś je prowadzi. To nie jest polowanie. To procesja.

- Kapłan - odparł Barak.

- Albo szaleniec - odparł Eltolad. - Chociaż różnica między nimi bywa niejasna.

Rozdzielili się przy wejściu do kanionu. Barak i Eltolad ruszyli wyżej, w kierunku wąskich przejść. Reszta myśliwych pozostała w wyschniętym korycie rzeki - pułapka zatrzasknęła się z hukiem kamieni, a echo przerwał niehumaniczny ryk.

- Na ziemię! - ryknął Barak.

Zeszli po piargach. Trzech myśliwych leżało w strzępach. Dwóch wciąż się trzymało. Barak rzucił się między nich, wykrzykując imię Pana - w takiej chwili imię Pana jest sygnałem do walki, a nie modlitwą - a jego miecz zatańczył, przecinając bok pierwszego lwa. Eltolad z góry wystrzeliwał strzałę za strzałą z precyzją, która nie pozostawiała miejsca na dramatyzm. Bestie wycofały się do szczelin.

Ruszyli w pościg. Wpadli do skalnej niecki.

Pułapka w pułapce.

Pierwszy lew spadł ze skalnej półki. Eltolad wystrzelił w locie trzy strzały - w oko i klatkę piersiową - a Barak wykończył go włócznią. Drugi wyskoczył z cienia: czarny, potężniejszy, bez ostrzeżenia. Cios rzucił Eltoladem o skałę i chłopiec zaniemówił.

Barak został sam. Miecz złamał się przy rękojeści, gdy lew uderzył łapą.

Zbliżyli się do siebie.

Lew ważył tyle, co trzech Baraków i nie znał zmęczenia. Barak trzymał go za gardło obiema rękami, opierając stopy w piasku, i czuł, jak jego mięśnie napinają się do tego stopnia, że skóra pęka od wysiłku. Tylne pazury rozdzierały mu bok. Wtedy to poczuł - ogień z wnętrza, biały, bezbarwny, silniejszy niż ból i silniejszy niż cokolwiek, co człowiek posiada z własnych zasobów.

Chwycił lwa za szczękę i szyję. Wbił go w piasek. Skręcił.

Sucha trzask.

Wrywał odłamek skały z ziemi i wbijał go w czarne serce lwa. Dla pewności.

W wąwozie zapadła cisza.

Barak leżał pod martwym ciałem i po prostu oddychał, bo to była pierwsza rzecz, na którą miał siłę. Tylne pazury lwa zdołały rozciąć mu bok - krew przesiąkała przez materiał, ciepła, jego własna, rodzaj rany, z którą człowiek postanawia sobie poradzić w jednej chwili.

Z grzbietu nad nim dobiegło syczenie.

„Niech klątwa spadnie na twoje plemię, wojowniku”.

Postać w kapturze. Stała nieruchomo na grzbiecie, z podniesionymi rękami - nie jak ktoś, kto krzyczy, ale jak ktoś, kto coś ściąga.

Barak poczuł to, zanim zrozumiał, co się dzieje.

Zaczęło się od skóry - mrowienie, jak w zdrętwiałej dłoni, ale wszędzie jednocześnie. Potem weszło głębiej. Jakby coś małego i o głodnych zębach przeszło przez powierzchnię jego ciała i zaczęło działać od środka - nie ból z zewnątrz, ból *wewnątrz*, w mięśniach, w kościach, w tym miejscu, gdzie człowiek jest sobą, a nie tylko ciałem. Tysiące małych, ślepych, krwiożerczych stworzeń, jedzących i jedzących, nie wiedząc, że zjadają żywego człowieka.

Siły go opuszczały.

Nie tak, jak to bywa po walce – po walce siły opadają stopniowo, mięśnie mówią „*dość*”, a człowiek wie, że odpoczynek je przywróci. To było coś innego – jakby ktoś przeciął linkę. Ręce, które przed chwilą skręcały kark lwa, nie mogły teraz unieść się nawet o pół łokcia. Nogi nie słuchały. Barak próbował wstać, a jego ciało odpowiedziało tą szczególną ciszą, która jest gorsza od bólu – bo ból mówi, że wciąż istniejesz, a ta cisza nie nie mówi.

Upadł na kolana.

Poczuł strach.

Po raz pierwszy w życiu - nie był to strach przed konkretnym zagrożeniem, bo to znał i potrafił sobie z tym radzić - ale strach bez przedmiotu, strach, który nie ma twarzy, nie ma kształtu, który jest po prostu obecny jak ciemność, gdy gaśnie pochodnia. Wiedział - nie słowami, jeszcze nie - że to, co go trawiło, nie ustanie, gdy skończy z ciałem. Sięgało głębiej niż ciało.

Kapłan zaczął mówić głośniej. Słowa były w języku, którego Barak nie rozumiał - starszym niż hebrajski, starszym być może niż sama pustynia - i w każdym z tych słów było coś, co Barak odczuwał jako ciężar, fizyczny, na swojej klatce piersiowej, jakby ktoś układał kamień po kamieniu.

Świat zaczął blaknąć na krwawdziach.

Wciąż widział grzbiet. Wciąż widział postać z podniesionymi rękami. Wciąż słyszał słowa, których nie rozumiał. Ale między nim a tymi rzeczami była już odległość, mleczna dał, jakby patrzył na nie przez wodę.

A potem – tętent kopyt.

Jeden dźwięk, ostry i nagły na twardym kamieniu, dochodzący z kierunku zachodniego grzbietu. Potem syk.

Strzała trafiła kapłana w prawą rękę - tę, którą trzymał wyżej, tę, z której płynęły słowa. Nie głęboko. Ale wystarczająco.

Zakłęcie przysło.

Jak pęka naciągnięta cięciwa łuku - w jednej chwili, bez stopniowania. Robaki zniknęły. Ciężar zniknął. Mleczna odległość zniknęła. Barak powrócił do swojego ciała - bolącego, krwawiącego, kłęczącego w pyłe - *ale nie sobie samym*, całkowicie, co w tej chwili wydawało mu się luksusem, którego istnienia wcześniej nie doceniał.

Kapłan krzyknął - krótko, stłumionym głosem człowieka powstrzymującego ból, zanim go wyrazi - i cofnął się. Ranna ręka zwisała bezwładnie. Odwrócił się i spojrzał w stronę zachodniego grzbietu - a w tym spojrzeniu nie było gniewu, tylko wyrachowanie. Szybkie, zimne, profesjonalne.

- Niech was wszystkich spotka kłątwa - powiedział. Głośno, wyraźnie, tym razem po hebrajsku, aby wszyscy zrozumieli. - Niech spotka ciebie, wojownika. Niech spotka łucznika. I niech spotka kobietę, która wtrąca się w sprawy, które jej nie dotyczą.

Zniknął wśród skał, zanim echo zdążyło powtórzyć jego słowa.

Barak uklęknął i spojrzał na miejsce, w którym stał kapłan, i miał dokładnie tyle siły, ile wymagało to spojrzenie. Nie więcej.

- Ścigasz go? - rozległ się głos z zachodniego grzbietu. Kobiety. Suchy. Z tym suchym tonem, który pojawia się, gdy ktoś ocenia sytuację i dostrzega w niej więcej absurdu niż dramatu.

Barak odwrócił głowę.

Zza skalnego występu wyjechała kobieta na koniu.

- Nie ścigam go - odparł Barak. Jego głos był szorstki, jakby dawno go nie używał.

- Rozumiem - powiedziała Tirza. - Klęczysz w pyłe i nie ścigasz człowieka, który przed chwilą chciał cię pożreć od środka. - Zwolniła konia. - Barak z Efraina. Słyszałam o tobie.

- Nie mam siły, by być tym, o którym słyszałaś - odparł.

- To też widzę - powiedziała. - Dlatego nie mówię tego złośliwie.

— T I R Z A —

Zsiadła z konia i oparła łuk o siodło. Podeszła do Baraka, który wciąż siedział przy skale - bez pośpiechu, spokojnym krokiem kobiety, która wie, że sytuacja jest pod kontrolą.

Przyjrzała mu się uważnie wzrokiem, który ocenia, a nie podziwia. Dostrzegła ciemną skórę spaloną przez lata spędzone na pustyni, ramiona mężczyzny, dla którego siła jest stanem naturalnym - nie wyćwiczonym, wrodzonym, takim, który nie znika, gdy mężczyzna klęka. Był ciężki jak skała, której ktoś nadał nogi. Na boku miał świeże rany po pazurach - głębokie, niechlujne, przesiąkające krwią przez materiał. Na jego twarzy nie było bólu, tylko ten szczególny spokój kogoś, kto wkrótce powróci do siebie.

Spojrzała na martwego lwa. Obeszła go raz, powoli.

- Czarny - powiedziała. - Śledziłam go od dwóch dni. Miałam go namierzonego pod skałą, ale wtedy wtrąciłeś się ty. - Krótka pauza. - Zabrałeś mi trofeum.

Barak spojrzał na nią. W jego oczach było coś pomiędzy wdzięcznością a irytacją - te dwa uczucia, które nie współgrają ze sobą zbyt dobrze.

- Byłem zajęty - powiedział.

- Widziałam. - Tirza usiadła na kamieniu naprzeciwko, bez zaproszenia, bo zaproszenie było zbędną formalnością. - Skąd wiedziałeś, żeby nie gonić kapłana?

- Nie wiedziałem. Nie miałem nóg.

- Dobrze, że wyglądało to na świadomą decyzję - powiedziała Tirza. - W przeciwnym razie nie zrobiłoby to takiego wrażenia.

- Wiejska śmiałość - powiedział Eltolad z ziemi, gdzie nadal siedział z dłonią przy skroni. - Brzmi znajomo.

Tirza spojrzała na niego - inaczej niż patrzyła na Baraka, z uwagą poświęcaną komuś, kto odezwał się w nieoczekiwanym momencie.

- Kto to jest? - zapytała Baraka.

„Eltolad. Łucznik. Zabił pierwszego lwa trzema strzałami w locie”.

„Wystarczyłyby dwie” - mruknął Eltolad. „Trzecia była dla porządku”.

Tirza skinęła głową - tym rodzajem skinienia, które oznacza, że spotkało się kogoś, kogo warto zapamiętać - i zajęła się swoim koniem.

Wrócili do obozu, niosąc skóry lwów i martwych myśliwych, a także wiadomość, która dotarła do nich szybciej niż oni sami.

— B Ł O G O Ś Ł A W I E Ń S T W O —

Słońce chyliło się ku zachodowi.

Barak stał przed Mojżeszem przy wejściu do Przybytku. Prorok wyglądał na starszego i bardziej wyczerpanego niż kiedykolwiek - jakby dźwigał ciężar wszystkich grzechów wszystkich plemion, a każdego dnia ciężar ten rósł. Obok niego stali Jozue i Kaleb z rękami na rękojeściach mieczy.

Barak uklęknął i rzucił nasączone krwią skóry lwów u stóp Mojżesza. Gest ten był bardziej wymowny niż słowa.

„Pan dał mi siłę, ojcze. Bestie nie będą już dręczyć Izraela”.

Mojżesz położył swoją suchą, żyłastą dłoń na jego głowie. Barak poczuł chłód - nie zimno, coś innego. Coś, co było starsze od niego i większe niż cokolwiek, co znał z własnego doświadczenia.

„Zabiłeś lwy, Baraku. Ale lwy to tylko zęby. Prawdziwa bestia wciąż siedzi w cieniu i czeka”. Chwila ciszy. „Bądź młotem w rękę Pana. Nadchodzą dni, kiedy stał będzie warta więcej niż woda, a wiara trudniejsza niż marsz przez morze. Błogosławię cię. Będziesz mieczem, który przecina drogę do Ziemi Obiecanej”.

W tłumie stał Elisur.

Obserwował tę scenę z twarzą, na której nie było nic - ani gniewu, ani zazdrości, ani emocji, które mogłyby go zdradzić. Tylko oczy pracowały: oceniały, liczyły, planowały.

„Im wyżej go wynoszą” - szepnął do Rubenity stojącego obok niego - „tym bolesniejszy będzie upadek. Kiedy skończę z tym obozem, Mojżesz będzie błagał o śmierć, a jego miecz złamie się w jego własnych rękach”.

Zdrada, która dojrzewała przez następne dwa lata, miała swój początek właśnie tutaj, w tym blasku chwały.

Barak stał się symbolem. Elisur postanowił zabezpieczyć ten symbol.

— D Ł U G —

Szymon ben Nachman miał siedemnaście lat i przemierzał obóz krokiem człowieka idącego naprzód, ponieważ zawrócenie byłoby gorsze.

Jego ojciec pożyczył od Elisura czterysta szekli. Szymon wiedział o tym od trzech miesięcy - od dnia, w którym ojciec powiedział mu o tym przy ognisku, głosem, który miał brzmieć spokojnie, a spokój ten nie pasował do sytuacji. Czterysta. Na zakup towarów do wiosennej karawany. Aby spłacić długi z poprzedniego roku, aby matka przestała recytować modlitwy z miną, jaką ma się podczas modlitw o rzeczy nieodwracalnie utracone.

Karawana dotarła do Drogi Królewskiej i tam spotkała ludzi Abirama.

Towary zniknęły. Woły zniknęły. Dwóch kupców nie wróciło. Reszta wróciła bez sandałów, bo Abiram zabrał też sandały.

Długi pozostały.

Shimon siedział teraz do Elisura, bo jego ojciec nie mógł wstać. Ojciec miał gorączkę od tygodnia i leżał na swoim posłaniu, patrząc w sufit namiotu z miną człowieka, który liczy i nie wychodzi mu na zero. Więc Shimon siedział - bo ktoś musiał. Tak robią synowie, gdy ojcowie nie mogą wstać.

Powiedział sobie, że Elisur zrozumie. Że da mu czas. Że napad na karawanę nie był winą kupców, to była siła wyższa, każdy handlarz to rozumie. Że Shimon powie: potrzebujemy roku, może dwóch, spłacimy każdy szekel wraz z odsetkami, niech pan Elisur przydzieli nam pracę, zrobimy wszystko.

Powtarzało to sobie po raz kolejny, gdy ktoś uderzył go w tył głowy.

Nie zdążył nawet krzyknąć.

* * *

Nachman ben Efod siedział przy wejściu do namiotu i czekał na swojego syna.

Gorączka ustąpiła trzy dni temu, ale osłabienie pozostało - osłabienie, które następuje po gorączce, kiedy ciało jest obecne, ale siły nie ma. Siedział z rękami na kolanach i nasłuchiwał obozu. Wieczorny szmer. Dzieci. Czyjeś ognisko. Normalność, która trwa obok tragedii i jej nie dostrzega, ponieważ normalność jest ślepa na indywidualne katastrofy.

Shimon wyszedł dwie godziny temu.

Zbyt długo.

Nachman wstał - zbyt gwałtownie, zawroty głowy, chwila przy słupku namiotu - i otworzył wejście.

Przy namiocie stało dwóch mężczyzn. Nie takich, którzy siedzą przy namiotach innych ludzi z przypadkowych powodów. Takich, którzy stoją, bo ktoś im kazał stać.

- Nachman ben Efod - powiedział wyższy z nich. To nie było pytanie. Potwierdzenie. - Pan Elisur czeka. Twój syn już tam jest.

Nachman poczuł, jak zimno rozchodzi się od stóp w górę - nie chodziło o temperaturę, tylko o coś innego, o ten rodzaj zimna, który jest reakcją ciała na zrozumienie tego, czego umysł jeszcze nie przetrawił.

- Mój syn - powiedział. - Co z moim synem? Oddajcie mi mojego syna, dam wam wszystko, weźcie namiot, weźcie...

- Cicho - rzekł drugi, spokojnie, jakby mówił o pogodzie. - I chodź.

Nachman szarpnął wejście. Raz - instynktownie, nie z zamierzeniem.

To wystarczyło, by zrozumieć, że szarpanie nie jest tutaj działaniem, które cokolwiek zmienia.

Związali go i zabrali.

Z wnętrza fioletowego namiotu unosił się zapach kadzidła i wina, a także czegoś jeszcze - czegoś metalicznego, słodkiego, czego Nachman nie chciał rozpoznawać.

Elisur siedział za stołem. Przed nim leżał pergamin z kolumnami liczb – zapisanymi starannie, równomiernie, bez emocji, tak jak zapisuje się rzeczy, które są po prostu faktami.

Shimon siedział przy bocznej ścianie namiotu. Żył – Nachman widział to z progu i poczuł, jak nogi uginają mu się z ulgi – ale siedział z pochyloną głową, z rękami związanymi z przodu i z wyrazem twarzy chłopca, który rozumie już więcej, niż powinien.

Obok niego stała Rivkah – żona Nachmana, matka Shimona – z twarzą pozbawioną wyrazu, tym wyrazem, który pojawia się po drugiej stronie płaczu.

- Czterysta - powiedział Elisur. Nie patrzył na Nachmana. Patrzył na pergamin, jakby rozmawiał z liczbami, a nie z człowiekiem. - Tyle jesteś mi winien. Ty i twój ojciec przed tobą, i ta karawana, która wróciła bez towaru.

- Panie Elisurze - zaczął Nachman. - Rabusie, siła wyższa, przysięgam na żywego Boga, że...

- Słyszałem - rzekł Elisur. Spokojnie. - Twoje życie wyceniam na sto. Twojego syna - na sto. Twoją żonę - na sto. Razem trzysta. - Podniósł wzrok. W jego oczach nie było gniewu. Tylko wyrachowanie. - Kto zwróci mi pozostałe sto?

Nachman spojrzał na niego przez chwilę.

Wtedy zrozumiał.

I zaczął mówić - szybko, nielogicznie, wszystko naraz, bo umysł pogrążony w panice wypowiada wszystkie słowa jednocześnie, mając nadzieję, że któreś z nich trafi w sedno - i błagał, obiecywał, przysięgał, wymieniał imiona starszych, imię Jozuego i imię samego Mojżesza, a Elisur siedział i słuchał z cierpliwością człowieka czekającego, aż przestanie padać deszcz.

Kiedy Nachmanowi zabrakło słów - kiedy po prostu nie miał już nic do powiedzenia - Elisur złożył pergamin.

- Trzysta - powtórzył cicho. - I brakuje stu. Spojrzał na dwóch mężczyzn przy wejściu - tych samych, którzy przyprowadzili Nachmana. - Zabierzcie te sto od żony.

Rewka wypowiedziała tylko jedno słowo. Potem zaczęła krzyczeć.

Szymon podskoczył - z rękami związanymi, co nic nie zmieniało, bo związane ręce to nie jest coś, co cokolwiek zmienia - i ktoś go uderzył, a on znów usiadł.

Nachman wpatrywał się w sufit fioletowego namiotu.

Nie mógł patrzeć nigdzie indziej.

Elisur wziął kielich wina i czekał, aż przestanie padać.

Kapłan Baala przyszedł o północy.

Zastał Elisura przy tym samym stole, przy tym samym winie – w fioletowym namiocie, spokojnym i cichym, pachnącym kadzidłem i czymś jeszcze, czymś metalicznym, słodkim.

Kapłan nie pytał o Nachmana ani o jego rodzinę. Nie dlatego, że nie wiedział - wiedział - tego rodzaju ludzie zawsze wiedzą. Nie pytał, ponieważ pytanie byłoby komentarzem, a komentarz wymagałby odwagi, której nie miał w obecności Elisura.

Usiadł naprzeciwko i złożył ręce na stole.

- Barak żyje - powiedział.

- Wiem - odparł Elisur.

- Moje zakłęcie...

- Zostało złamane przez strzałę - powiedział Elisur. - Przez dziewczynę na koniu. Córkę Jozuego. Podniósł kubek. - Ciekawe.

Kapłan milczał.

- Miecz to za mało - powiedział po chwili Elisur. - Zakłęcie to za mało. - Odstawił kubek. - Pozostaje tylko sieć. Wystarczająco długa i gęsta, by nawet ogień Jahwe w niej się zaplałał.

Kapłan skinął głową.

- Czego potrzebujesz?

- Czasu - odparł Elisur. - I ludzi na właściwych miejscach. Uśmiechnął się - tym szczególnym uśmiechem, który nie jest wyrazem szczęścia. - Zacznę od siostry kowala.

— *Końiec rozdziału I* —

